

BIBiK

Biuletyn Informacji Bibliotecznych i Kulturalnych

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Łodzi

Spotkanie

z **Keithem Botsfordem**

Prowadzenie spotkania – profesor Jerzy Jarniewicz

8 maja 2009 r.



Fot.: <http://www.keithbotsford.com/>
Wykorzystano informacje o autorze
zamieszczone w polskiej prasie.

Keith Botsford – pisarz, kompozytor (z zamiłowania), wydawca, nauczyciel akademicki, jedna z bardziej kolorowych postaci świata współczesnego Zachodu.

Urodzony w roku 1928 w Belgii, spędził większość życia w Stanach Zjednoczonych. Mieszka także na Kostaryce.

Autor kilkunastu powieści, tysięcy artykułów, esejów. Jest tłumaczem, dla którego tłumaczenie to nauka stylu poprzez odkrywanie języka i czyjegoś rytmu. Przetłumaczył około 80 książek z różnych języków. Pod pseudonimem I. I. Magdalen wydał kryminały i powieści szpiegowskie.

Skomponował dwa cykle pieśni i kilkanaście utworów kameralnych.

Pracował też dla filmu, w teatrze, telewizji i w radiu, zajmował się dziennikarstwem.

Bliski przyjaciel pisarza amerykańskiego Saula Bellowa (1915-2005), laureata Nagrody Nobla za rok 1976. Wraz z Bellowem założył kilka opiniotwórczych magazynów, wśród nich jedno najważniejszych pism literackich Stanów Zjednoczonych – „The News from the Republic of Letters”, które ukazuje się do dzisiaj.

Studiował muzykologię, filozofię, prawo (choć nigdy nie stało się ono dla niego zawodem), japonistykę i literaturę francuską.

Był i pozostał fanatykiem sportu. Przez długie lata był dziennikarzem sportowym.

Trzykrotnie żonaty, ma dziewięcioro dzieci.

Od dzieciństwa hołduje przekonaniu, że dobre jedzenie i wino – i dobre towarzystwo – są esencją cywilizowanego życia.

Ze strony matki jest w prostej linii potomkiem autora „Księcia” – Niccolò Machiavellego (1469-1527).

Wielki przyjaciel Polski i miłośnik literatury polskiej. Znał m. in. Konstantego Jeleńskiego, Józefa Czapskiego, Jerzego Sito, Jana Kota, Jarosława Iwaszkiewicza, Jerzego Grotowskiego, Czesława Miłosa. Jak stwierdził w jednym z wywiadów nauczył się czytać Norwida, z przyjemnością czyta Stefana Chwina.

Pracuje obecnie nad zbiorową biografią niezwiązaną z komunizmem lewicy w latach 1930-1968 oraz książką o historii Śródziemnomorza.

Dnia 16 kwietnia 2009 r. w Paryżu odbyła się prezentacja jego książki „Józef Czapski: A Life of Translation (The American University of Paris – Sylph Editions).

Dom

Keith Botsford mieszka w posiadłości nazywanej **Casa Kike** (Cahuita, Costa Rica). Dom widoczny na fotografiach zaprojektował syn pisarza, architekt **Gianni Botsford**.



Fot.: <http://www.nacion.com/ambitos/2008/julio/05/br1604056.html>



Fot. : <http://www.giannibotsford.com/projects.php>



Keith Botsford z żoną Angelą.
Fot.: <http://www.keithbotsford.com/>

Bibliografia (w wyborze)

Nowość: Josef Czapski : a Life of Translation (2009)

Collaboration (2007)
Death and the Maiden (2007)
Emma H. (Toby Press, 2003)
The Mothers (Toby Press, 2002)
Lennie & Vance & Benji (Toby Press, 2002)
Editors: The Best of Five Decades (Toby Press, 2001)
Out of Nowhere (Toby Press, 2000)
The Champions of Formula 1 (Arrow Books Ltd., 1989)
Anna P. (Toby Press, 1983)
The Search for Anderson or Anderson Minor (St. Martins Press, 1982)
Driving Ambition (Atheneum, 1981) by Keith Botsford and Alan Jones
Dominguin: Spain's Greatest Bullfighter (Quadrangle Books, 1972)
The March-Man (Viking, 1964)
Benvenuto (Hutchinson, 1961)
The Eighth-Best Dressed Man in the World (Harcourt, Brace, and Co., 1957)
The Master Race (Wingate, 1955)

Artykuły:

Mexico Follows a 'Solo Camino'; The 'single path' of the all-powerful P.R.I. has given the nation a stability rare in Latin America. Can the system continue to work? Mexico Follows A 'Solo Camino' By KEITH BOTSFORD. New York Times. Apr 26, 1964. p. SM20 (5 pages)

'There Is No Censorship,' Said Poland's Censor; Report From a Surrealist Capital Report From a Surrealist Capital In Poland, neither politics nor the state can be safely ignored "We are Communists in the sense that you are democrats" By KEITH BOTSFORD. New York Times. Sep 11, 1966. p. 305 (11 pages)

Why Students in France Go Communist; Elite Proletarians All Elite Proletarians All (Cont.) By KEITH BOTSFORD. New York Times. Nov 13, 1966. p. 280 (6 pages)

If les Mao won their revolution, they would immediately start another Les Mao Maoist cause celebre By Keith Botsford. New York Times. Sep 17, 1972. p. SM12 (6 pages)

Look who's in bed with whom; Decision in France By Keith Botsford. New York Times. Mar 4, 1973. p. 246 (7 pages)

The white Rolls-Royce; Stars beyond the firmament By Keith Botsford. New York Times. Mar 25, 1973. p. 318 (6 pages)

The Music And the Man; Hindemith By KEITH BOTSFORD. New York Times. Nov 27, 1977. p. 257 (2 pages)

A God Who Made Words By KEITH BOTSFORD. New York Times. Dec 27, 1981. p. BR2 (2 pages)

THE POLLINI SOUND; POLLINI POLLINI POLLINI By Keith Botsford. New York Times. Mar 1, 1987. p. SM30 (6 pages)

MAVERICK VIOLINIST; For all his success, Gidon Kremer pursues his own, eccentric muse. KREMER KREMER KREMER By Keith Botsford. New York Times. Oct 2, 1988. p. SM50 (5 pages)

Reflex-ions on Kennedy By Keith Botsford. KOLOKOL. Grafica Panamericana, S. de R. L., Parroquia 911, Mexico, D. F., Jan 25, 1964. (18 pages)

Przedmowy:

Wright Morris: Ceremony in Lone Tree 2001, Bison
 Emmanuel Bove: Winter Journal 1998, Marlboro

Tłumaczenia:

Sixth Form 1939, by Marcella Olschki. Publisher: Toby Press, August 2002, 72 pages translated by Keith Botsford.
Women and Faith: Catholic Religious Life in Italy from Late Antiquity to the Present, by Lucetta Scaraffia. Publisher Harvard University Press, November 1st 1999, 432 pages, translated by Keith Botsford.
The Sacralization of Politics in Fascist Italy, by Emilio Gentile. Publisher Harvard University Press, September 1st 1996, 222 pages, translated by Keith Botsford.
The House of Others, by Silvio D'Arzo. Publisher Marlboro Press, October 15th 1995, 125 pages, translated by Keith Botsford.
Inevitable Illusions: How Mistakes of Reason Rule Our Minds, by Massimo Piattelli-Palmarini. Publisher: John Wiley & Sons Inc., October 20th 1994, 256 pages, translated by Keith Botsford.
Keke, by Keke Rosberg. Publisher: Hutchinson, May 1985, 192 pages, translated by Keith Botsford.
History of the French Revolution: Volume VI, Books 11, 12 13, by Jules Michelet. Publisher: Livingston Publishing, 1973, translated by Keith Botsford
 Human Relations Area Files (anthropology) 1958-1960, eight books mainly on Viet Nam, translated by Keith Botsford

W przygotowaniu

Twelve Essays on the Mediterranean

Człowiek renesansu / z Keithem Botsfordem rozmawia Henryk Skwarczyński ; rozmowę przełożył z angielskiego Wojciech Chmielewski // Odra 2008, nr 7, s. 70-73

H.S.: Niedawno w „*International Herald Tribune*” ukazał się artykuł o twoim nowym domu w Kostaryce. Co cię tam zawiodło? Spędzasz tam z swoją żoną Angelą większą część roku?

K.B.: Człowiek renesansu to przeszłość. Wtedy była publiczność i przyjaciele. Teraz właściwie nie ma nic. Isaiah Berlin mówił o Jezach i Lisach. Ja jestem Lisem. Łapię wiele tropów. Wyjaśnienie wielowątkowości mego życia leży w fakcie, że potrzebuję mniej snu niż większość ludzi, mam zatem więcej czasu. Nie mam złudzeń co do wielu dziedzin, którymi się zajmuję. Jestem, choć z oddalenia, przywiązany do rodziny i przyjaciół; dużo czytam i każdego dnia piszę. **Dbam o literaturę w taki sam sposób, w jaki dbam o ludzi.** Myślę, że jestem niezłym nauczycielem. To główne ścieżki, którymi podążam. Ukończyłem prawo, ale była to przygoda intelektualna i nigdy nie stało się ono zawodem. Jestem również kompozytorem, choć z zamiłowania, ale gdybym miał lepszy słuch, byłaby to pewnie moja domena. Teraz mieszkam w Kostaryce, gdzie jeden z synów, będący architektem, zaprojektował dla mnie dom, który stał się wydarzeniem w mediach. Pojechałem tam, bo miałem dość studentów niezainteresowanych żadną wiedzą. Jest tu tanio, bezpiecznie i pięknie. Poczułem też, jak zresztą wiele osób z mego pokolenia, że rodzina powinna dysponować rodzajem schronu, miejsca niewystawionego na możliwy konflikt i względnie odpornego na gospodarcze załamania.

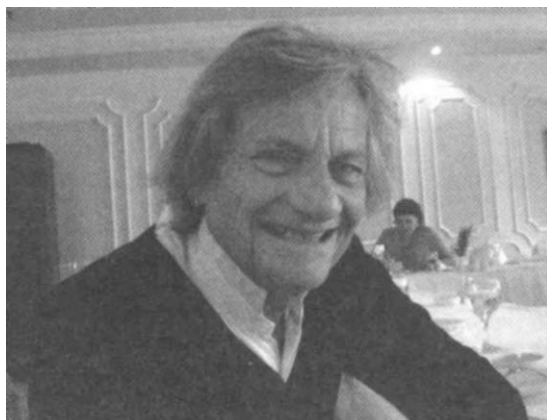
Niestety, nie są nim Stany Zjednoczone, kraj, w którym zakochałem się w 1939 roku, a którego rozpoczęty w latach 60. proces rozkładu mogłem oglądać. Nie jest to też państwo opiekuńcze, którym stała się Nowa Europa – czyli federacja zarządzana przez nadpłaconych urzędników instruujących, co nam wolno, a czego nie, pełna absurdalnych przepisów, takiego samego rozmiaru pomidorów, z pseudo – bezpieczeństwem i bizantyjską biurokracją. **Kiedy ludzie przy mnie zaczynają mówić o „państwie” czy „rządzie”, sięgam po pistolet.**

- *Jesteś pisarzem, wydawcą, profesorem, autorem słynnej powieści The Mothers i wielu innych książek.*

- Rzeczywiście, jestem pisarzem, zawsze nim byłem, w ten czy inny sposób. Nie prowadzę rachunkowości, ale opublikowałem trzynaście powieści, dwie kolejne: *Collaboration* i *Death & the Maiden*, powinny ukazać się w tym roku, cztery czy pięć książek nienależących do literatury pięknej i dosłownie – taki to zawód – tysiące artykułów, esejów i tym podobnych prac. Dużo czytam w wielu językach. Redagowanie tekstów stanowi część tego, co jest istotą pisania, czyli ustalania, czym są słowa i jak powinny być one używane. W dzisiejszych, trudnych dla „wysokiej kultury” czasach standardy wydawnicze są bardziej potrzebne niż kiedykolwiek. Zawsze też dużo tłumaczyłem. Czasem nawet, z pomocą pośredników, z języków, którymi nie władam. Jest to zajęcie podobne do kopiowania dzieł wielkich mistrzów. Tłumaczenie to nauka stylu poprzez **odkrywanie języka i czyjegoś rytmu**. Na przykład jedna z najwspanialszych opowieści naszych czasów, *The House of Others*, której autorem jest Silvio D'Arzo, pisana była, podobnie jak czynił Lampedusa, zdaniami z siedmioma akcentami w każdym z nich. Nie wiedząc tego, wylewamy dziecko z kąpielą. Pracowałem też dla filmu, w teatrze, telewizji i radiu, ale przede wszystkim zajmowałem się dziennikarstwem, co stanowi produkt uboczny każdego życia prawie każdego pisarza. To ostatnie dla mnie najbardziej użyteczne. Nauczyłem się pisać w odpowiednim wymiarze, zajmując, na czas i bezustannie z myślą o czytelniku. Za to dzięki kryminałom, powieściom szpiegowskim czy ich gatunkowym krewniakom, które popelniłem (wydanym pod pseudonimem I.I.Magdalen), wiem, że **główna rola w pisaniu przypada zawsze narratorowi.**

- *Przez prawie pół wieku przyjaźniłeś się z Saulem Bellowem. Razem założyliście „The News from the Republic of Letters”. „Library Journal” określa to przedsięwzięcie jako jedno z najlepszych literackich pism. Mogę dodać, że nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale w całym anglojęzycznym świecie literackim. Co takiego szczególnego jest w tym piśmie?*

- Saul i ja byliśmy przyjaciółmi przez ponad pięćdziesiąt lat. Kojarzy się nasze nazwiska, bo dużo wspólnie zrobiliśmy. Także nauczyliśmy się od siebie nawzajem i nie wyobrażam sobie bardziej otwartej i partnerskiej przyjaźni. Być może jest to niewyobrażalne dla osób, które nie widziały nas razem, ale tak właśnie było. **Wydawane przez nas pisma, były takie jak my:** otwarte, na pewnym poziomie, sprzyjające różnym poglądom, nieakademickie. Nigdy nie przyglądaliśmy się temu, kto jest kim, ale czy rzecz jest dobra. „Horizon”, „Encounter”, „Nouvelle Revue Française” czy, w swoim najlepszym okresie, „Nowyj Mir” i polska paryska „Kultura” były takie jak my. Reszta pism była akademicka, niewolna od uprzedzeń, upolityczniona lub zideologizowana. Nikt nas nie wspierał ani nie subsydiował; płaciliśmy autorom z własnej kieszeni. Uważni wydawcy mają nosa do dobrych tekstów.



Keith Botsford

Fot.: Odra 2008, nr 7, s. 70

Zamieściliśmy to, co najlepsze, w jednej, liczącej 1200 stron książce wydanej przez Toby Press (The Editors: Saul Bellow & Keith Botsford), która stanowi wyzwanie dla tego, co ukazuje się obecnie. Kiedy miałem kilkanaście lat, recenzowałem takich autorów jak Robert Lowell, a publikowałem takich jak Ezra Pound, Wallace Stevens i William Carlos Williams. Teraz, kiedy mam ósmy krzyżyk, chociaż nazwiska się zmieniły, nie ma to wpływu na rozległość zainteresowań.

-W domowej bibliotece mam egzemplarz Skrzydeł ołtarza Gustawa Herlinga-Grudzińskiego z ciepłą dedykacją autora. Książkę tę otrzymał mój ojciec Zdzisław w 1964 roku, w czasie swej podróży na Zachód. Oprócz tego wyjazdu do końca życia odmawiano mu paszportu. Przed wojną, kiedy ojciec pełnił obowiązki asystenta profesora Juliana Krzyżanowskiego na Uniwersytecie Warszawskim, Herling-Grudziński był jego studentem. Wiele lat później dostrze-

głem Wieżę, jedno z opowiadań ze wspomnianej książki, opublikowane w „The News from the Republic of Letters”. Zanim to nastąpiło, moje życie zatoczyło osobliwy krąg. Wprowadziłeś paru polskich pisarzy, mnie w to wliczając, w krąg literatury światowej i anglojęzycznej publiczności. Twoje usiłowania w tym względzie są godne podziwu.

-Moich powiązań z Polską jest wiele i mają one charakter głęboko osobisty. Można by ich szukać w mojej, przed wojną się jeszcze datującej, znajomości z Wojciechowskimi i Radziwiłłami. Jako nastolatek obozowałem w Polsce, aby wiele lat później, poprzez Konstantego Jeleńskiego, spotkać takie osoby jak malarz Panis czy ocalały z masakry katyńskiej, malarz i kawalerzysta w jednej osobie, Józef Czapski. Z Saulem Bellowem publikowaliśmy Antoniego Słonimskiego. Jako sekretarz PEN-Clubu spotykałem się z Jarosławem Iwaszkiewiczem, potem Jerzym Sitą czy z Janem Kottiem w Londynie, poprzez którego poznałem Jerzego Grotowskiego. Te przeróżne związki z Polską trwają do dzisiaj, na skutek czego nauczyłem się czytać Norwida i, z tego, co było w tłumaczeniu dostępne, poznałem sporo polskiej literatury, a muzyka te więzi zacieśniła. Czesław Miłosz stał się cenionym przyjacielem, kiedy byłem dyrektorem National Translation Center. Powiem ogólniej – zawsze zajmowały mnie sprawy pogranicza, te rodzaje marchii o nieustalonym bliżej stanie granic, które wymagały stałej obrony. Moi włoscy przodkowie byli markizami, jedna z pierwszych powieści nosi tytuł *The March-Man*, moja rosyjska trzecia żona była z domu Talbot, Talbotowie zaś kontrolowali marchię walijską. Takie obszary kryją w sobie coś nierzeczywistego, stąd pewnie *Marchen*, bajka.

Wreszcie – czy sam w końcu nie tłumaczyłem i nie publikowałem hrabiny Donhoff z marchii wschodniopruskiej? Czytam z przyjemnością Chwina, który w Gdańsku zastąpił Grassa. Kaszuba, jeśli się nie mylę? Nie ma nic heroicznego w asystowaniu przenikaniu się innych kultur. To prawie samolubne, w tym znaczeniu, że sprawia przyjemność, i nie do końca bezinteresowne – w tym sensie przyjemność zaprawiona moralnością jest wspólnym udziałem. **Specjalnym uczuciem darzę dwie dwudziestowieczne powieści**, każda w trzech tomach: Iwaszkiewicz napisał jedną z nich, *Sławę i chwałę*. Autorem drugiej jest węgierski pisarz Miklos Banffy. Nosi tytuł *The Transylvanian Trilogy*. Obie są niczym klasyczna symfonia w epoce sound-bites. Czym różni się to, co robię, od tego, co zrobił dla Aleksandra Wata Czesław Miłosz? Czy Józef Czapski dla współtowarzyszy z rosyjskich łagrów? Na pewnym poziomie wszyscy pisarze są do siebie podobni, przynajmniej w celach, które sobie stawiają.

-Jako dziecko spędziłem kilka miesięcy w łóżku z ciężkim zapaleniem płuc. To był czas wielkiego czytania. Doświadczyłeś, zdaje się, czegoś podobnego?

- Masz rację, choroba w dzieciństwie jest tajemnicą wielu artystów. Mój przyjaciel **Saul Bellow** leżał jako dziecko w szpitalu. Żydowski chłopiec na oddziale szpitala w Montrealu, gdzie dobre siostrzyczki – a było to w czasach, gdy miłosierdzie było okazywane w imieniu Boga, i bez dodatkowej opłaty! – dały mu do czytania Nowy Testament. To właśnie wtedy ukuł swą zdolność podejmowania Wielkich tematów i mistrzostwo Słowa. Jako trzylatek doznałem ciężkich poparzeń i wczesne dzieciństwo spędziłem w łóżku. Pozostały mi po tym okresie dwa pewniki: po pierwsze – że każda próba unicestwienia mnie będzie nieudana. Zawsze wygrywam. I po drugie – że jedynym prawdziwym światem jest świat mej wyobraźni. Wciąż w nim zamieszkuję.

- *Raymond Chandler, pisarz z Chicago, jest wciąż popularny w Polsce. Film Wielki sen, ekranizacja jego powieści z Humphreym Bogartem w roli głównej, to klasyka gatunku. Znałeś przecież Chandlera...*

-Rzeczywiście, znałem **Raymonda Chandlera** i pracowałem z nim. Mój przyjaciel John Houseman, producent filmowy i potomek barona Haussmana, tego, który całkowicie odmienił Paryż, dżentelmen w każdym calu (jestem ojcem chrzestnym jego dwojga dzieci), zetknął mnie z Chandlerem w studiu filmowym MGM, w stacji telewizyjnej CBS, w teatrze. Byłem jego człowiekiem od wszystkiego. Mieszkaliśmy wtedy z Johnem w Malibu, stykając się ze wszystkimi gwiazdami filmu, włączając w to Humphreya Bogarta, który po pijanemu pogryzał kieliszki. Tamten Hollywood był też znany memu ojcu, który grał z nimi wszystkimi w tenisa na prywatnych kortach, co stanowiło mej powieści *Death & the Maiden*. Dlatego też tak wysoko jest u mnie w hierarchii amerykańskich pisarzy Nathaniel West. Hollywood jest jeszcze jednym pograniczem.

- *W XVII wieku twoi przodkowie ze strony ojca znajdowali się wśród założycieli Milford w stanie Connecticut. Zatem płynie w tobie krew pionierów amerykańskich, chociaż urodziłeś się w Brukseli. Osobliwe miejsce dla kogoś takiego jak ty. Ze strony matki Karoliny Eleny Rangoni-Machiavelli-Publicola-Santacroce jesteś w prostej linii potomkiem Niccolo Machiavellego. Czy ten fakt jest w jakiś sposób kultywowany rodzinnie?*

- **Bruksela** była miejscem, gdzie się urodziłem, podobnie jak i mój brat. **Ojciec**, Willard, pochodził ze starego amerykańskiego rodu, a jego **matka**, Florence, była patrycjuszką rodziny Tappans (potem Topping), osiadłej w dolinie rzeki Hudson, a dobrze swego czasu zakorzenionej w Anglii. Dziadek ze strony ojca, Charles, był marzycielem, poetą i wynalazcą. Ojciec i jego przepiękna siostra Rosamond spakowali manatki – uciekając od finansowych tarapatów, w jakie wpadł dziadek – i ruszyli do Europy w poszukiwaniu forsy. Rosamond, która stała się później autorką bestsellerów, poślubiła – był to pierwszy z jej siedmiu małżonków – nieśmierdzącego groszem włoskiego malarza, kiedy tymczasem ojciec otrzymał 50000 franków w złocie jako posag mej matki. W Brukseli grał w tenisa (jego deblowym partnerem był Bill Tilden) i pracował dla rodziny Heinemanna, zanim, po moim urodzeniu, nie postanowił przenieść się do Anglii. Mechanizmy i uwarunkowania mej rodziny – tej, która była przede mną, i tej, która powstała później – stanowią, rzecz jasna, część osobistej mitologii. Matka była spokrewniona dodatkowo, i przez małżonka, z wieloma znaczącymi rodzinami w Europie; ojciec nie radził sobie jednak z *la vie mondaine* i w roku 1939 wylądował w Ameryce. Z jednej strony był pragmatycznym Anglosasem (aczkolwiek wychowanym w języku francuskim), a z drugiej strony osaczał go kurz wieków. Rodzina Rangoni-Machiavelli była przedstawicielką czarnosecinnej i klerykalnej arystokracji posiadaczy ziemskich, podczas gdy pradziadek ze strony matki ożenił się z reprezentującą resztki miejskiej i otwartej na świat arystokracji rodu Publicola-Santacroce. Jako historyk, co stanowi połowę mego zawodu akademickiego, stałem się archiwistą rodzinnym i być może dualizm mego pochodzenia spowodował, że jeden z pisarzy nazwał *Death & Maiden* „najlepszą powieścią o Ameryce kiedykolwiek napisaną przez Europejczyka”. Czy mam to uznać za komplement?

Henryk Skwarczyński – (ur. 1952), łódzianin, pisarz, mieszkający od wielu lat w Stanach Zjednoczonych. W Polsce opublikowano pamiętniki "Męka stawania się Amerykaninem" (1989, pod pseud. Henryk Skwar), reportaże "Sweeney wśród słowików" (2000), powieść "Słomiane morze" (2002) eseje „Z Różą i Księżycem w herbie” (2004), powieść „Uczta głupców”(2008).



Keith Botsford
przed restauracją
japońską
([http://www.onyx.dti.ne.jp/~bellow/
english/engchica/bots.html](http://www.onyx.dti.ne.jp/~bellow/english/engchica/bots.html))





Keith Botsford

Fot.: <http://www.keithbotsford.com/>

Jedno udane życie / z Keithem Botsfordem rozmawia Marek Bieńczyk // Tygodnik Powszechny [on-line] 27.05.2008. Dostępny <http://tygodnik.onet.pl/37,0,10383,artykul.html>

Keith Botsford: *Dobre jedzenie i wino – i dobre towarzystwo – są esencją cywilizowanego życia. W tym duchu wychowywałem dzieci, narzucając rygor codziennej wspólnej kolacji w dopraszonym towarzystwie, od którego mogły się uczyć o świecie. [...]*

Marek Bieńczyk: Pamiętasz słynne słowa Montaigne'a: „to ja jestem materią tej książki”? Chciałbym, byś ty był materią tej rozmowy, i używam słowa „materia” właściwie dosłownie, gdyż Twoje życie wydaje się tak bardzo gęste, treściwe. Wszystkiego tu dużo, wręcz w nadmiarze. Nawet nazwiska w Twojej biografii są długie. To Twojej Matki: Carolina Elena Rangoni-Machiavelli-Publicola-Santacroce.

Keith Botsford: Matka żyła niemal sto lat, skoro mówisz o nadmiarze.

Kiedy zapytano ją, z czego wynika równie długa egzystencja, odpowiedziała: z czystego egoizmu. Ale to się wszystko źle zaczęło, do ósmego roku nie wychodziłem z łóżka. Gdy miałem trzy lata, lekarz rodzinny uratował mi życie operacją in extremis na stole kuchennym. Ósmy rok spędziłem w klinice gruźliczej...

...w Szwajcarii oczywiście, gdzieś wysoko w górach...

Tak, w Szwajcarii, w Villars-sur-Ollon.

Nie sposób nie myśleć o Tobie jako o nadzwyczajnym wcieleniu arystokratycznego ducha kosmopolitycznego w starym, przedglobalistycznym wydaniu. Z matki Włoszki, potomek tego, wedle archiwów, Machiavellego, z ojca Amerykanina, czystej krwi WASP-a z rodu osiadłego w Connecticut w 1630 r., urodzony w Brukseli...

...ojciec miał tam akurat turniej tenisowy...

...mówiący płynnie sześcioma językami – a słyszałem, jak mówisz każdym, i każdy brzmiał jak Twój język ojczysty – wydajesz się nosić w sobie cały świat. Tamten, coraz mniej istniejący świat. Matek o pięciocłonowych nazwiskach. Synów chodzących do szkół w najlepszych miastach Europy i Ameryki i pięknie niewiedzących, kim są.

Każda rodzina jest, jak ci wiadomo, nieszczęśliwa na swój sposób. **Matka** miała wiele z grande dame. Zapiski w jej dzienniku (co podała na kolację, co na siebie włożyła, kogo przyjęła) uderzają mnie dziś nie swoją naturalnością, raczej troską o to, by znaleźć się jak trzeba, wraz z mężem, przyszłym samobójcą, w społecznej roli. Oboje byli w końcu w Londynie, gdzie głównie mieszkaliśmy, obcymi przybyszami – ona jako **Włoszka z „wysokimi” koneksjami**, spokrewniona z połową europejskiej arystokracji, on jako **Amerykanin prowadzący tajemnicze interesy**, przybyły do Europy w poszukiwaniu pieniędzy i na starcie małżeństwa obdarzony przez Matkę 50 tysiącami franków w złocie. Jestem pewien, że wydawane obiady, podwieczorki dla ladies wpisywały się w konieczny zwyczaj, lecz nie wypływały z woli serca. Nosila stroje kupowane wiosną i jesienią w Paryżu, lecz jej dusza należała do Boga, do dwójki rzadko widywanych dzieci, a nie do Mamony i do jej światowych gości.



<http://www.bu.edu/trl/contact.html>



Konstanty Jeleński, pseudonim Kot
(1922-1987)
polski dziennikarz,
publicysta związany z paryską
"Kulturą", żołnierz Armii Andersa
(<http://pl.wikipedia.org/wiki>)

Jej zachowania społeczne wynikały zapewne z braku poczucia bezpieczeństwa. Wyszła za mąż za przystojnego, wysportowanego Amerykanina, bo z powodu skandali towarzyskich, wywołanych przez jej matkę, wielokrotne małżeństwa tejże, nie mogła wbrew oczekiwaniom i swej nadziei wejść w małżeński związek wewnątrz rodzinnego, arystokratycznego, włoskiego świata.

Kot

Gdybym miał znaleźć dla Ciebie jakieś uchwytne dla nas tutaj podobieństwo, przywołałbym Kota Jeleńskiego.

Uwielbiałem go. **Kota** poznałem bodaj w 1962 r. na Kongresie Wolności Kultury (CFF) w Berlinie. Był bardzo zaangażowany w debaty, współpracował blisko z Nicholasem Nabokovem, który wszystkim tam rządził. Później wysłałem mu książkę Rétifa de la Bretonne, a on подарował mi obraz swej żony, Leonor Fini.

Tak, Kot był jednym z tych nadzwyczaj finezyjnych, nadzwyczaj wyrafinowanych Polaków, obywateli świata, jakich zdarzyło mi się spotykać jeszcze w szkołach, w trakcie młodzieńczej edukacji. Jako pół-Włosi czuliśmy bliskość, ale też wiele nas dzieliło, jego homoseksualizm zwłaszcza; debiutowałem wcześniej, gdzieś w wieku 16 lat, poetycko i edytorsko, i muszę Ci powiedzieć, że jako Rimbaudowski klon niejako byłem wówczas – przerażonym – obiektem zbyt wielu homoseksualnych adoracji.

Widziałem Cię parę razy i zawsze występowałeś w damskich szatach.

Bo lubię kobiece ciuszki. Kot miał niezwykle giętki umysł, nadzwyczajną wiedzę i zarazem wrażliwość, i to przez niego spotkałem się z Polską. Dzięki niemu poznałem Jerzego Sitę, oczywiście **Józefa Czapskiego**, także, przez Jana Kotta, Grotowskiego. Dość dobrze znałem **Miłosza**, gdy szefowałem National Translation Center. Dzięki Kotowi zacząłem czytać paryską „Kulturę”, później, jako działacz międzynarodowej sekcji PEN-Clubu, poznałem Iwaszkiewicza; mieliśmy wspólne penklubowe interesy, uważam jego prozę za jedną z największych w XX w. Znałem już większość wielkiej polskiej literatury: Herberta, Gombrowicza, Norwida. Żałowałem, że nie poznałem osobiście Herlinga, którego podziwiam jako pisarza. Saul Bellow nie dopuszczał, byśmy go wydawali, uczyniłem to dopiero po śmierci Saula. Herling musiał, wedle Saula, obstawić nie tę co trzeba kartę, źle rozgrywać rozdanie żydowskie. W literackiej talii asów, rzecz jasna.

Nieco rozumiesz i czytasz po polsku, w Twoim ostatnim liście pytałeś o najnowszą powieść Pawła Huellego. Ale w Polsce nigdy nie byłeś?

Owszem, byłem. Krótko, w 1946 r. Zostałem przysłany przez służby amerykańskie pod innym nazwiskiem, jako najmłodszy bodaj, no powiedzmy, pracownik. Przybrałem nawet pseudonim: **Gérard de Neval**. Ale tyle tylko mogę Ci powiedzieć. Wracając do Kota: był jednym z najbardziej utalentowanych i chłonnych ludzi, jakich w życiu spotkałem. O najbardziej żywej i eleganckiej umysłowości. Jego słowo otwierało wszystkie drzwi literackiego świata. Było w nim coś, by tak rzec, gęstego, intensywnego, ujmującego; był arystokratyczny (bardzo) i bez grama sztuczności; wiele się od niego nauczyłem. Wszyscy go kochali, także w erotycznym sensie. W CFF byliśmy, on i ja, kapryśnymi buntownikami, a nie działaczami; artystami, a nie zimnymi wojownikami. Wszystko nas zajmowało, o wszystkim rozmawialiśmy, o fotografii, kinie, malarstwie, o jedzeniu...

O jedzeniu?

O smakach. Poza wszystkim innym byłem kronikarzem gastronomicznym; napisałem ponad 500 kronik kulinarnych. Wiesz, nasi domowi kucharze w Londynie byli wysyłani na kursy haute cuisine: matka przyjmowała trzy razy w tygodniu, lecz sama nigdy nie ugotowała nawet jajka. Od dzieciństwa hołduję przekonaniu, że dobre jedzenie i wino – i dobre towarzystwo – są esencją cywilizowanego życia. W tym duchu wychowywałem własne dzieci, narzucając rygor codziennej wspólnej kolacji w dopraszonym towarzystwie, od którego mogły się uczyć o świecie. Stół ma być w rodzinie miejscem, gdzie się rozmawia i słucha, dzieciom przynosi przedsmak dorosłego życia. Nie mam

żadnej obsesji na punkcie jedzenia, ale **lubię mistykę rodzinnego stołu.**

Od Bartóka do Cassiusa Claya

Zawsze przy stole wyjmujesz to tajemnicze puzderko?

To pieprz, pieprz z mojego ogrodu w Kostaryce. Ma prawdziwy smak. Ale, skoro o jedzeniu mowa, dodam, że wiąza się z nim moje nie tak liczne **furie. Nie znoszę jego biurokratycznych, europejskich regulacji, jego powszechnego ujednolicenia**, liczenia ziarenek w pomidorach, mam głęboką niechęć do „zdrowego jedzenia”, do spożywczych fetyszystów, którzy nie chcą jeść tego czy tamtego, i mówią mi, co ja powinienem spożywać, do dietetyków, do bojowników o niepalenie, do wszystkiego, co uczyniła w tej materii Ameryka, niszcząc dawne standardy, do pretensjonalnych krytyków oceniających restauracje, do winiarskich snobów, do tych, co są przekonani, że dobre jedzenie jest gdzie indziej, na zewnątrz, a nie w domu.

Najlepsze jedzenie powstaje w domu, z miłości. Sam zacząłem gotować, gdy miałem 15 lat i mieszkalem już sam. Najwięcej na tym gotowaniu skorzystało później moich **dziewięcioro dzieci i żony.**

Ile?

Trzy. Ostatnia, **Amanda**, ma 29 lat, pobraliśmy się niedawno... No więc z Kotem dobrze jedliśmy. Ale więcej rozmawialiśmy o muzyce, na której się fantastycznie znał. O Chopinie choćby, do którego zacząłem docierać późno, po długim okresie niechęci do jego chromatyzmów. Kiedy pisałem później o Horowitzu i jego interpretacjach Beethovena, wiele myślałem o Kocie. Kot sam miał coś w sobie z siły Chopina, gdy ten najechał Paryż (muzyczny) i zaczął rozwalać go od środka.

Wiem, że przetłumaczyłeś 80 książek z różnych języków, przekładałeś poezję brazylijską i powieści niemieckie, o Twojej prozie jeszcze porozmawiamy, lecz nie wiedziałem, że komponowałeś.

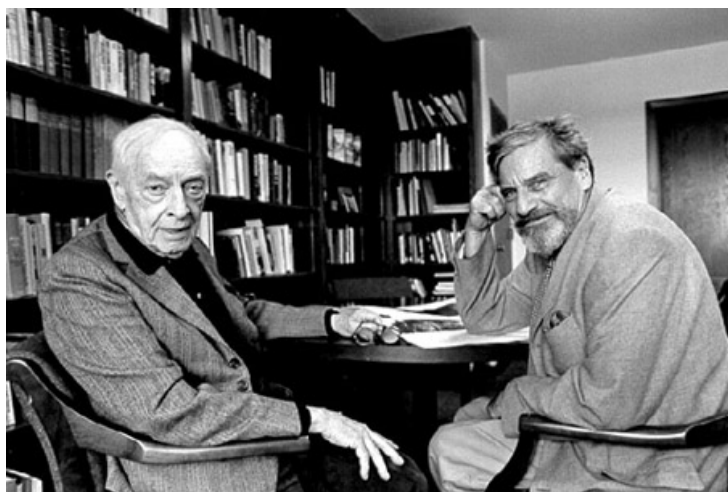
Niewiele wszak, dwa cykle pieśni i kilkanaście utworów kameralnych.

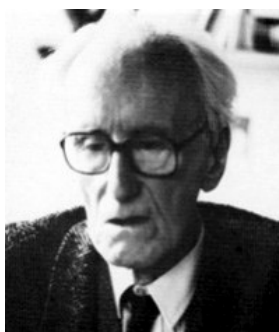


Saul Bellow (1915-2005)
pisarz amerykański,
laureat Nagrody Nobla
w dziedzinie literatury za rok 1976.
Fot.: <http://www-news.uchicago.edu>

Saul Bellow (z lewej) i Keith Botsford
na Uniwersytecie Bostońskim w 1990 r.

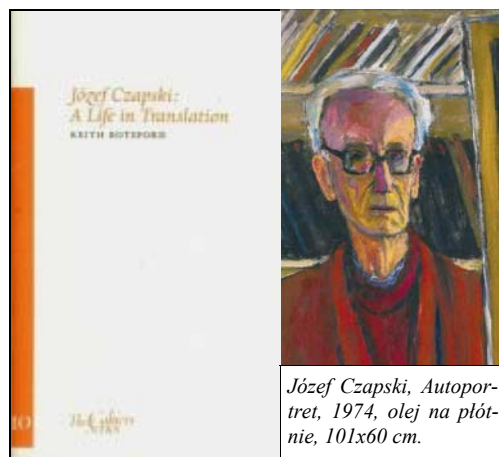
Fot. <http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/1/18/SaulBellowAndKeithBotsford.jpg>





Józef Czapski (1896-1993) – malarz, krytyk sztuki, publicysta, pisarz. Za udział w wojnie polsko – bolszewickiej odznaczony orderem Virtuti Militari. Studiował prawo w Petersburgu i kształcił się u Józefa Pankiewicza oraz Wojciecha Weissa na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Był prezesem grupy kapistów (Komitet Paryski) tworzącej w Paryżu. W czasie II Wojny Światowej więziony w łagrach sowieckich. Wraz z Jerzym Giedroyciem i Gustawem Herlingiem-Grudzińskim współzałożyciel Instytutu Literackiego. Laureat wielu nagród, tytuł profesora honorowego Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Swoje prace malarskie wystawiał na całym świecie, publikował w różnych językach. W Polsce jego twórczość została w pełni udostępniona dopiero po 1989 roku.

(<http://www.poland.gov.pl>)



Józef Czapski, Autoportret, 1974, olej na płótnie, 101x60 cm.

Józef Czapski: A Life of Translation /
Keith Botsford. — The American University of Paris
— Sylph Editions, 2009
(http://www.aup.fr/cwt/pdf/Botsford_flier.pdf)

Chodziłeś do konserwatorium?

Studiowałem kompozycję w Manhattan School of Music. Pobierałem także prywatne nauki u Paula Hindemitha i u Bartoka.

Aha... Jak wyglądała więc pełna edukacja młodego kosmopolity arystokraty?

W dziecięcym łóżu boleści czytałem bez przerwy. Tom za tomem; właściwie do dziś składam się z jednego: z furii lektury. Chodziłem do szkoły w Oxfordzie, gdzie uczęszczali bracia Kennedy, gdy ich ojciec był ambasadorem. Wrzesień 1939 r. zastał nas w naszej posiadłości Portonuovo we Włoszech. Popłynęliśmy niezwłocznie do Stanów, na Zachodnim Wybrzeżu chodziłem do znakomitej szkoły, ze starszymi od siebie o trzy lata; później, gdy przenieśliśmy się na Wschód, uczęszczałem do Canterbury College, skąd wyrzucono mnie wraz z synem Hemingwaya za złe zachowanie. Gdy miałem 13 lat, wstąpiłem do Portsmouth Priory School. Miałem już chyba przeczytaną całą klasykę.

Maturę zrobiłem w piętnastym roku życia i wstąpiłem do **zakonu benedyktynów**, zostając bodaj najmłodszym mnichem w jego dziejach. Edukacja w zakonie była nadzwyczajna, ojciec Alban Faer miał nieświeży oddech, ale nauczył mnie pasji do nowoczesnej literatury. W zakonie jednak moje ciało nie chciało zasnąć. Podjąłem studia w Yale. **Studiowałem historię sztuki** u Henri Focillona, Hermann Broch był moim sąsiadem. Najwspanialszym nauczycielem był wszak Wallace Fowlie, a contemplative inactive queer, który otworzył przede mną modernistyczną literaturę francuską i inne exotica. Nigdy mnie nie dotknął, ale wylano go z Yale za złe obyczaje. Pod jego wpływem założyłem dwa pierwsze pisma, „Yale Poetry Review” oraz „Poetry New York”; tam opublikowałem pierwszą pieśń Ezry Pounda, Wallace’a Stevensa, W. Carlosa Williama i innych. Szybko jednak uciekłem – od szkoły i od matki. Znalazłem się wraz z końcem wojny w Niemczech, po samobójstwie ojca w 1947 r. wróciłem do Nowego Jorku, gdzie, jak mówiliśmy, studiowałem muzykę, po czym trafiłem do Writers Workshop w Iowa; tam poznałem wielu pisarzy, później bardzo dla mnie istotnych, i sam pisałem coraz intensywniej. Jeszcze później **studiowałem japoński na uniwersytecie Columbia oraz prawo**, najpierw w Holborn College, następnie w Strasburgu. Lubiłem prawo: pierwszą książką, jaką kupiłem samodzielnie, za ćwierć dolara, była ciężka cegła z opisem wszystkich wyroków Trybunału Konstytucyjnego, którego zamierzałem w przyszłości zostać członkiem.

O sport się nie pytam, bo u Anglosasów był to zawsze oczywisty fragment dobrej edukacji.

Tak, kochałem sport, genetycznie, po amerykańskim ojcu, który był rasowym, zawodowym sportowcem; świetnie grał w tenisa, toczył mecze z Borotrą i innymi „muszkietierami”. Matka miała na taśmie filmowej wiele jego meczy, ale pożar je strawił po brytyjskim zbombardowaniu Ancony, gdzie trzymaliśmy dobytek. Gdy wyszedłem z choroby,

rzuciłem się w sport z pasją. Grałem w tenisa; urwałem nawet parę gemów Lew Hoadowi z daviscupowej reprezentacji Australii; w debła grywałem regularnie z Charliem Passarelem.

Tym, który rozegrał najdłuższy mecz na Wimbledonie?

Tak, 112 gemów z Pancho Gonzalezem. W latach 40. **byłem też licencjonowanym ping-pongistą**; jako deblista znajdowałem się na listach rankingowych.

Znałeś chyba wszystkich. Także z pracy w radiu, teatrze, filmie. Słyszałem, że piliś z Humphreym Bogartem i pracowałeś przy adaptacjach filmowych z Raymondem Chandlerem. Jesteś żywym dowodem na to, że Bogart bywał pijany, a Chandler genialny. Jesteś gwarantem naszych legend i fantazmatów.

Patrzeć, śledzić, kibicować, towarzyszyć – w tym byłem najlepszy. Byłem i pozostałem fanatykiem. To znaczy tym, kto popiera drugich. Na pierwszy mecz Chelsea poszedłem w 1936 r. W Londynie nie opuściłem bodaj żadnego ich spotkania, dzieci się śmieją, że będę się pytał o wynik Chelsea nawet na łożu śmierci. Przez długie lata parałem się dziennikarką sportową. **Obsługiwałem wszystkie mistrzostwa świata, Formułę 1 i inne sporty motorowe dla „Sunday Timesa”.** **Jeździłem za Cassiusem Clayem po całym świecie.**

Znałeś go dobrze?

Pamiętam, jak uczyłem go, czym jest poezja, podczas długiego oczekiwania na walkę w Kinszasie, tę wielką walkę z Foremanem. Napisałem parę książek o sporcie i prowadziłem też, znając się na prawie, dziennikarskie śledztwa w organizacjach olimpijskich, w FIFA. Doskonale widziałem, jaką dewastację w sporcie zaczyna szerzyć korupcja za czasów wielkich kanciarzy jak Jo’o Havelange i lichych oszustów jak Sepp Blatter czy Michel Platini. Stało się dla mnie jasne, jak Wielka Forsa i narodowe interesy tworzą zakochaną parę. Jak np. francuski rząd podkupuje międzynarodowe sportowe instytucje... Ale, rzecz we mnie cynik, kto nie jest przekupny, gdy rządzi Mamona?

Bellow

Zostawiłem na koniec pytania o Saula Bellowa. Miał trzech tak zwanych „pierwszych czytelników”: Ciebie, Philipa Rotha i Williama Kennedy’ego. Założyliście wspólnie to słynne pismo „The News from the Republic of Letters” i Twoje nazwisko w dziejach literatury występuje siłą rzeczy razem z nazwiskiem Bellowa. Czy chciałbyś je jakoś oderwać?

Byliśmy **przyjaciółmi** od pewnego wrześniowego dnia w 1953 r. po dzień jego śmierci. Znałem wszystkie jego żony i dzieci. Z pewnością „oficjalna” opinia jest taka, że oto młodszy pisarz, goj, długo współpracował z Sauliem i wyniósł z tego same korzyści. Otóż nie było to zupełnie tak. Jeden brał od drugiego to, co sam potrzebował lub czego mu brakowało. Od pierwszej chwili była to o wiele bardziej zrównoważona relacja, niż mogło się wydawać z zewnątrz. Nasze pismo literackie, w założeniu antyakademickie, pozapolityczne i pozaideologiczne – co w tamtym czasie nie było tak łatwe – wydawaliśmy za własne pieniądze; sami płaciliśmy autorom, których starannie wybieraliśmy. Byliśmy równym tandemem, on pierwszy zeskoczył z siodełka.

Jaki wpływ miał Bellow na Twoje pisanie, czytał Cię w ogóle? Napisałeś przecież dużo, kilkanaście powieści i pod pseudonimem I.I. Magdalen kilkanaście kryminałów, nie mówiąc o setkach artykułów i esejów.

Saul miał bardzo mały wpływ na moją prozę – nie jestem redukcją Saula, lecz pisarzem o zupełnie innym temperamencie. Pamiętam, jak raz mi zmienił słowo „ghost” (duch) na „spook” (duszek); to znaczący drobiazg. Podtrzymał mnie jednak na duchu, czy na duszku, swą wiarą w moje pisanie. Jego słynne motto: „*Weź czytelnika za rękę, a on da się zaprowadzić, gdzie zechcesz*”, jakie często powtarzał, było dla mnie wspaniałym prezentem, z którego korzystałem. Pamiętam, że o mojej pierwszej powieści „Benvenuto”, poświęconej Mussoliniemu, powiedział, że „jest straconą okazją”. „Przestraszyłeś się, nie dotrzymałeś kroku tej ponadwymiarowej osobowości. Napisałeś świetną powieść bez głównego bohatera”.

Jakich pisarzy cenil?

Doszło między nim a Philipem Rothem, przy okazji późniejszych książek Philipa, do ostrej wymiany zdań; w moim przypadku natomiast dawał mi różne sugestie, pomagał przy wydawaniu moich rzeczy. Bardzo niechętnie pisał jednak o innych; w tym sensie ja jednak byłem ostatecznie bardziej hojny. Naszą relację, relację laureata Nobla i młodszego pisarza, równoważył fakt, że dostarczyłem mu wiedzy: o Europie, o innych literaturach, o tym, gdzie kupować najlepsze ubrania, gdzie się zatrzymywać i gdzie iść na kolację.

Jednak pisarzowi, który nie dostał Nobla, nie było chyba łatwo przyjaźnić się z pisarzem, który dostał Nobla.

Istniały między nami głębokie różnice charakteru, języka, edukacji, pochodzenia. Saul cenił opinię świata, lubił być konsekrowanym, co mu często złośliwie wytykałem. W pierwszym okresie naszej przyjaźni zdawałem mu się młodym dzikusiem, którego lubił przywoływać do porządku; zagrażałem nieco Bellowskiemu Przedsięwzięciu, kondycji Wielkiego Pisarza, czyli sztuce bycia lwem. Pomagała mu ona w zdobywaniu kobiet, zdobywaniu przepustek do miejsc, o których marzył. Był często przewrażliwiony, pamiętający, kłótlivy; nie sięgałem raczej po broń, nie stawiałem oporu, był mimo wszelkich wad doprawdy wielkim, prawdziwym pisarzem. Miłość innych dawała mu szczęście i doprawdy kochaliśmy się. Nigdy nie doszło między nami do poważnego zgrzytu. Nadawaliśmy na tej samej fali myśli, ogromną frajdę sprawiało nam dzielenie się książkami, które lubiliśmy, muzyką, jedzeniem.

Łączyła nas ogromna pasja do literatury. Zawsze czytał to, co mu poleciłem, i na odwrót; zawdzięczam mu choćby Samuela Butlera. Jego oceny pisarzy, ich wartości artystycznej były doskonałe; miał – jak powiada się o muzykach – nadzwyczajny dotyk: nieomylnie wyczucie. Oczywiście, niektórych pisarzy ja lubiłem bardziej, on mniej, na przykład Edmunda Wilsona; miał więcej w literaturze antypatii i niechęci niż ja – co świadczy może, że mój smak był bardziej „katolicki”. Jego bohaterowie, tak jak on sam, byli na szerszą skalę niż samo życie, przyjemność przebywania w jego towarzystwie nie miała sobie równych, jego umiejętność słuchania innych (z wyjątkiem intelektualistów i akademików) była fenomenalna i była, jak u Balzaca, nie tylko źródłem jego inspiracji, gdy tworzył swych bohaterów, wymyślał ich sposoby mówienia, lecz także kopalnią wszystkich tych bezcennych szczegółów, które urealniają pisanie.



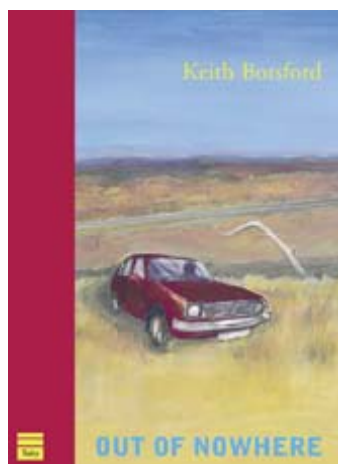
Emma H. / Keith Botsford. - Toby Press, 2003



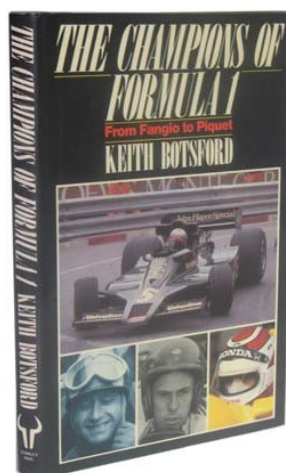
The Mothers / Keith Botsford. — Toby Press, 2002



Editors: The Best of Five Decades / Saul Bellow, Keith Botsford. — Toby Press, 2001



Out of Nowhere / Keith Botsford.— Toby Press, 2000



The Champions of Formula 1/ Keith Botsford . — Stanley Paul, 1988



Lennie & Vance & Benji / Keith Botsford.— Toby Press, 2002

Bellow wydaje się idealnym obiektem biografii.

Tak, Zack Leader pisze już bodaj czwartą. Jako człowiek Saul był księciem: innym słowem nie umiem tego wyrazić. Miał ową hauteur, jaką osiągają w sposób naturalny ci, którzy wiedzą, jak bardzo są dobrzy, i wiedzą, że mają jedno zadanie: być jeszcze lepszymi. Saul czytał mi wszystko, co napisał. „Herzoga” pisał w moim domu w Puerto Rico – walczyłem wówczas ciężko, by uchronić go przed okropnym błędem, jakim byłoby poślubienie Susan. Byłem w środku wielkiej burzy, gdy zrywał z Sandrą Cherbassov, biegnąc od niego do Jacka Ludwiga i z powrotem. Sandra chciała obrazić go wiążąc się z Jackiem, odbywały się cudowne sceny rodem z żydowskich dowcipów. ON: Doprawdy, mam to gdzieś, kochanie, że jesteś niewierna. ONA: Ok, właśnie spałam z Iksem. ON: O Boże, nie z tym dentystą!

Czym się teraz zajmujesz? Ciągłe kładziesz się o północy i wstajesz o czwartej rano? Mimo osiemdziesięciu lat?

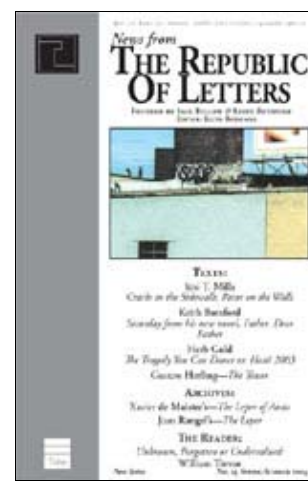
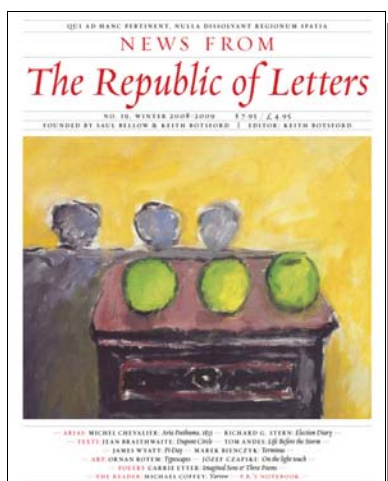
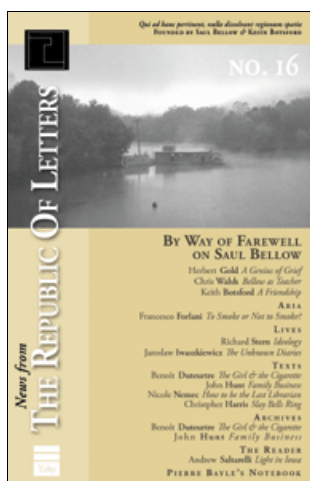
O czwartej, o trzeciej. Kiedy rozum (innych) śpi, ja czytam. Na tym polega sedno życia, o którym rozmawiamy: mam więcej czasu i mogę więcej czytać, a reszta jest tego pochodną. Nadal wydaję pismo. Jeżdżę z wykładami po świecie, chętnie przyjechałbym dać parę wykładów do Polski, już nie jako Gérard de Nerval. Pracuję ostatnio nad książką o historii Śródziemnomorza i zbiorową biografią niekomunistycznej lewicy w latach 1930–1968: Victor Serge, Czesław Miłosz, George Orwell, Kot Jeleński, Ignazio Silone, Stephen Spender, Man?s Sperber, Nicola Chiaromonte, Melvin Lasky, François Bondy i wielu innych. Dużo tłumaczę, wkrótce wyjdą moje dwie nowe powieści.

Już chyba wiem, jak zatytułuję ten wywiad. Słowami Ciorana o Eliadem: „Wreszcie jedno udane życie”.

Jak ci wygodnie, mój drogi, ale mam wrażenie, że może za dużo czytasz.

Marek Bieńczyk – pisarz, historyk literatury (IBL PAN), znawca literatury polskiego romantyzmu i współczesnej humanistyki francuskiej, tłumacz z języka francuskiego, eseista i enolog. M. in. autor powieści „Terminal” (1994), „Tworki” (1999), szkiców literackich „Czarny człowiek : Krasiński wobec śmierci” (1991), „Melancholia : o tych, co nigdy nie odnajdą straty” (1998), „Oczy Durera: o melancholii romantycznej” (2002), „Przezroczystość” (2007) oraz przewodników enologicznych „Kroniki wina” (2001), „Wina Europy 2003/2004”, „Wina Europy 2005/2006”, „Wina Europy 2009”.





Okładki pisma literackiego wydawanego
przez Keitha Botsforda
„The News from the Republic of Letters”
(<http://www.bu.edu/trl/>)

Przewodnik Botsforda po kulturze, czyli wszystkie książki które powinniście mieć przeczytane i których nigdy nie dostaniecie do czytania w klasie.

Japonia

Opowieść o księciu Genji napisana przez panią Murasaki jest nie tylko pierwszą powieścią (we współczesnym sensie) kiedykolwiek napisaną, jest także jednym ze szczytowych osiągnięć, całkowicie oczarowującym. Wolę stary przekład Waley'a niż współczesną wersję Seidenstickera, która jest kanciasta. Z nowej literatury, polecam Tanizakiego, Kawabata i Yukio Mishimę, których czworoksiąż jest najlepszym, jaki znam, wprowadzeniem do Japonii. (...)

Indie

Ten ogromny subkontynent z jego wieloma językami wydał w minionym stuleciu kilku pisarzy pierwszej klasy. Nirada Chaudhuri'ego „The Continent of Circe”, chociaż mocno nie lubiany przez Hindusów, jest udanym przykładem analizy kultury narodowej. G.V. Desani'ego „All about H.Hatterr” uważam za wielką powieść komiczną XX wieku. Opowiadania Rabindranatha Tagore (niezależnie od jego Nagrody Nobla) są warte przeczytania ; podobnie powieści Narayana.

Na zachodzie leżą:

Rosja

Jak wszyscy wiecie, literatura Rosji jest ogromna i bardzo wpływowa. Nie mogę czytać Dostojewskiego, ale szanse dostępu są, jeśli chcecie – ja go połknąłem jako wczesny nastolatek. Nie ma co kręcić wokół Tolstoja, „Wojna i pokój” pozostaje pomnikiem ; „Anna Karenina” jest wyjątkową powieścią o zdradzie. Ale obu tych pisarzy moglibyście znaleźć nawet wśród akademików. To samo nie jest prawdą co do trzech innych powieściopisarzy, których Rosjanie cenią najbardziej. Nikołaj Leskow, szalony obłąkaniec, nie dość tłumaczony ; Gogol, którego opowiadania i (oczywiście) „Martwe dusze” są kamieniami węgielnymi rosyjskiej beletrystyki i Gonczarow, którego „Oblomow”, opowieść o skrajnie leniwym Słowianinie, jest niesłusznie pomijana na zajęciach z literatury rosyjskiej. Pamiętniki Aksakowa o jego dzieciństwie i młodości są klarowne i błyskotliwe. Lermontowa „Bohater naszych czasów” leży u korzeni (na różne sposoby) wielu współczesnych postaw. Czechow – oczywiście ; Turgieniew – być może.

Bliżej naszych czasów, Sołżenicyn jest gigantyczną postacią ; „Archipelag Gułag” obciążałby sumienie każdego, kto by tego nie przeczytał. „Oddział chorych na raka” jest rozszerzoną metaforą o katastrofie, którą było państwo sowieckie. Na tle Sołżenicyna, Pasternaka wydaje się łatwy ; gdyby nie był, po co by go filmowano w Hollywood? Izaak Babel jest niezbędny. Tak samo Zoszczenko i ta wielka komiczna para, Ilf i Pietrow. Ale w latach 30-tych, poezja pozostała jedyną literaturą bezpieczną i tajemniczą. Mniej niż ogół lubię Achmatową, ale gdybym miał czytać tylko jednego poetę, byłby to Osip Mandelsztam. Przy tych wszystkich wybitnych poetach, bardzo ważne jest, czyje przekłady czytacie. Niektóre tłumaczenia są, dosłownie, okropne. Jeśli szukacie kogoś współczesnego, Jurij Buida jest w sam raz.

Polska

Podobnie jak włoska i portugalska, polska literatura jest jednym z najlepiej strzeżonych sekretów naszej kultury. Norwid jest jednym z absolutnie największych poetów XIX wieku, tak dobrym jak Heine, jak Keats. Czesław Miłosz – jako poeta, polityczny eseista i pamiętnikarz jest centralną postacią. Trzeba go czytać we fragmentach, jeden kęs na raz. Jego współpraca z Aleksandrem Watem, która wydała „Mój wiek” Wata – wielka historia strasznych czasów — jest jednym z rzadkich aktów strzelistych literatury. Polskę, jaka była i jest znajdziecie w cudownej trylogii Jarosława Iwaszkiewicza (przeczytawszy ją po francusku, nie wiem, czy była tłumaczona na angielski), ale w jakiej innej literaturze znaleźlibyście eseje poezję i sztuki Kazimierza Brandysa i Zbigniewa Herberta czy Stanisława Leca? Nie mówiąc o cudownej literaturze jidysz która rozwinęła się w Polsce: Singer, Perec, Picard, Alejchem. Musicie tego szukać i mieć otwarty umysł.

Włochy

Znów, ta literatura jest dobrze chronionym sekretem- jak to często bywa z „mniejszymi” językami. Dużo z niej nie jest w ogóle nawet tłumaczone; i pozostawmy na boku kwestię czy jest ona dobrze tłumaczona. Dante jest najbardziej celebrowanym pisarzem, który odparł wszystkie próby przekładu. Od Longfellowa poprzez współczesnych, tłumacze pracowali na próżno. Co więcej, świat Dantego- ten z doby Kościoła i Cesarstwa- tak się oddalił, że jest on prawie niemożliwy do czytania. Tak więc w niektórych tłumaczeniach przebija się przebłysk poezji; w innych niczego takiego nie ma. Według mnie, dwujęzyczna wersja Charlesa Singletona jest jak dotąd najlepsza. Głośne „Inferno” Roberta Pinsky’ego jest bardziej „Beowulfem” niż Dantem. Więc uczcie się włoskiego! Poprzez czytanie Dantego! Ze współczesnych prozaików najbardziej znanym jest Calvino. O wiele mniej znani, ale równie dobrzy są: Beppe Fenoglio, Arturo Loria, Mario Tobino. Tajemniczą książką jest „The House of Others” (którą ja przełożyłem) przedwcześnie rozwiniętego geniusza Silvio D’Arzo. Podobnie cudowni są Italo Svevo i Umberto Saba. Jest to literatura w pełnym rozkwicie zarówno w poezji jak i w prozie, chociaż wielkim poetą jest niewątpliwie Eugenio Montale, udanie zanglicyzowany przez zmarłego Williama Arowsmitha.

Niemcy

Wspaniała literatura mocno ignorowana w USA. Heine, Lichtenberg są poetami pierwszej klasy. Sztuki Bertholda Brechta (tak jak Ionesco i Geneta) są w sercu repertuaru XX-wiecznego. „Błaszany bębenek” Gunthera Grassa jest bardziej błyskotliwy niż jego dalsze prace, ale one te z nie są do zlekceważenia. Dwoma faworytami są „The Questionnaire” Ernsta van Salomona, oraz szwajcarski pisarz (prawie nieznan) Werner Burgengruen, szczególnie „A Matter of Conscience”. Robert Walser jest szczególnie i interesujący. Kafkę znajdziecie w kanonie lektur, ale Stefana Zweiga? Adalberta Stiftera? Oczywiście literatura niemiecka nie znalazła nigdy bardziej świetnego miejsca niż u W.G. Sebald, którego wszystkie prace uważam za istotne.

Francja

Jeśli przeczytacie, co Francuzi uważają za kluczowe osiągnięcia, będziecie dotkliwie rozczarowani... Ale z tego rumowiska wyłaniają się: Alfred de Vigny, Victor Hugo, zawsze zmienny poeta. Proust – tak, ale zagarnęli go profesorowie. Wielki pamiętnikarz, Paul Leautaud, jest w wielkiej części nie tłumaczony. Gide jest dobrym i odważnym pisarzem, lecz zbyt niewiele czytało Louisa Guilloux, którego powieść o I wojnie światowej „Sang Noir” tłumaczona w latach 30-tych, jest jedną z najlepszych prac z gatunku wojennego, z pewnością prawdziwszą niż Hemingway. Polecam wam Giono, Mauriac i Emmanuela Bove, jak też mieszczańskiego Paula Moranda. Ale królem XX-wiecznej francuskiej powieści jest Celine: przerażający człowiek, zawzięty stylistą, szalony, ale z większą energią niż reszta razem wzięta.

Język angielski

Po prostu wyliczę autorów, którzy zasługują na lepszy los. W Anglii Graham Greene i W. Somerset Maugham, potępiani za bycie czytelnymi i czytany. P.G. Wodehouse, za najlepszy klasyczny angielski styl od czasów Drydena. Także David Garnett, E.F. Benson, William Gerhardie, Walter de la Mare – wszyscy lekceważeni. W Irlandii, ponad wszystkimi William Trevor – cud: start z „Miss Gomez and the Brethren”, ale wciąż pisze. Eseje Huberta Butlera są poruszające i wnikliwe. Flann O’Brien jest stały, śmieszny i pozbawiony szacunku. W USA: winien być czytany Dreiser: zarówno „Sister Carrie” jak i „American Tragedy”: niemodne, ale będące kamieniami węgielnymi. Sinclair Lewis nie jest już czytany – to źle. Nathanael West jest postacią kultową i słusznie. „All the King’s Men” [tł. polskie: „Gubernator”] Roberta Penna Warren’a są naszą jedyną znaczącą powieścią polityczną. Rozległe wnętrza Ameryki jest zgłębiane na równi przez Willę Cather i Wrighta Morrisa. Lekceważonym arcydziełem Joe Mathewa jest historia Osage [indiańskiego plemienia], zaś wiele z twórczości Johna Jay Chapmana jest niemal tak cięte, ile można znieść i pozostać krytycznym; to samo o Edmundzie Wilsonie, który jest wart dwóch generacji angielskich profesorów (i który napisała zabójczo śmieszną powieść erotyczną zatytułowaną „All about Daisy”, którą uważam za drugą tuż za „Lolita” Nabokova oraz resztą jego dorobku – byli oni przyjaciółmi i rywalami).

Najbardziej żywotne pisarstwo od czasów Bellowa powstaje na Antypodach; możecie otrzymać z wydawnictwa Roth & Co. z Petera Careya, Tima Wintona, Murraya Baila, Chloe Hooper – zajrzyjcie do australijskiego wydania magazynu „Granta” jako do przewodnika.

Wreszcie, gdybym mógł czytać tylko jedno czasopismo, byłby to Times Literary Supplement (TLS). Był on pożywką dla mojej ciekawości i mojego umysłu przez blisko 60 lat.

<http://www.keithbotsford.com/> (tłumaczenie : Marek Brzeziński, WiMBP)

Saul Bellow w rozmowie z Keithem Botsfordem („Bostonia”, listopad – grudzień 1990); cyt. za: Saul Bellow: Suma po przemyśleniach : od niewyraźnej przeszłości do niepewnej przyszłości. Przekład Tomasz Bieroń. Poznań, Wydaw. Zysk i S-ka, 1998. S. 301-328: Pół życia (fragmenty).

Keith Botsford: Czy w pańskim wczesnym dzieciństwie kotłowały się wokół Pana idee?

Saul Bellow: Nie wiem, czy się kotłowały. Po prostu były. W wieku około czterech lat zaczynaliśmy uczyć się hebrajskiego i czytać Stary testament, lecz niekoniecznie rozważaliśmy ideę stworzenia, czy skąd się wziął świat i jak wytłumaczyć jego istnienie. Byłem w bardzo swobodnych stosunkach z Bogiem, pierwszym rodzicem, a gdy doszedłem do patriarchów (miałem pięć lub sześć lat), traktowałem ich w dużym stopniu jak członków rodziny. Trudno mi było rozróżniać między któryś z rodziców a heroicznymi przodkami – Abrahamem, Jakubem i synami Jakuba, zwłaszcza Józefem.

Keith Botsford: A więc nauka religii odegrała swoją rolę?

Saul Bellow: Nie tyle nauka religii, ile Tora.

[...]

Keith Botsford: Życie składa się z dwóch odrębnych aspektów: w jednym obcuje się ze światem wszystkich innych ludzi, w drugim kulturuje się swój świat wewnętrzny. Czy było w tym coś z ukrywania się?

Saul Bellow: Nie tyle ukrywania się, ile głębokiego poczucia dziwności tego, co robiłem. Najpierw przełożyłem sobie Stary Testament na swoje życie wewnętrzne, potem wprowadziłem do swojego życia wewnętrznego książki, które czytałem w bibliotece publicznej. Ten pierwszy krok cieszył się aprobatą judaizmu, to znaczy przede wszystkim mojej rodziny. Drugi musiał pozostać tylko fantazją. Należało traktować nieufnie to, co było z jednej strony pobudzające i uszlachetniające, a z drugiej niebezpieczne do wyjawienia.

[...]

Keith Botsford: Wróćmy do Nowego Jorku tuż przed drugą wojną światową. Żyje pan w ubóstwie i marzeniach o literackiej wielkości. W powietrzu unosi się idea, że wszechświat jest nieskończony: wszystko jest możliwością i potencjalnością. Jakie idee wprowadziła do pańskiego życia wojna?

Saul Bellow: Wojnę rozumiałem całkowicie błędnie. Byłem pod wielkim wpływem marksizmu i początkowo traktowałem ją jako kolejną wojnę imperialistyczną. [...] Wciąż byłem wtedy oddany marksizmowi i rewolucji, ale otrzeźwiałem, kiedy padła Francja.

Keith Botsford: Nie wiedział pan nic o tym, co się naprawdę wtedy działo w Niemczech?

Saul Bellow: Zacząłem mieć jakieś pojęcie, kiedy Niemcy weszli w 1939 roku do Warszawy i zaczęli atakować Żydów na ulicach.

Keith Botsford: Kristallnacht nie była dla pana dzwonkiem alarmowym?

Saul Bellow: Trochę była, uważałem to za coś diabelskiego i niebezpiecznego. Poważne wątpliwości zacząłem mieć po inwazji Rosjan na Finlandię. Wciąż jednak byłem pod wpływem ideologii lewicowej. [...] Lecz kiedy Niemcy zdobyli Warszawę, zacząłem to wszystko widzieć inaczej. No a kiedy upadł Paryż, to był oczywiście wielki wstrząs.

[...]

Keith Botsford: Co sprawiło, że mit upadł?

Saul Bellow: W dużym stopniu zdyskredytował go Stalin. Wiedziałem o czystkach. Wiedziałem, że procesy moskiewskie są sfabrykowane. Wszystko to było dla mnie absolutnie oczywiste. Lecz jak każdy, kto uwierzył w jakąś doktrynę w młodym wieku, nie mogłem się od niej uwolnić.

[...]

Keith Botsford: W którym momencie staje się niemożliwe wybaczyć ludziom wyznawanie poglądów, które są w oczywisty sposób fałszywe?

Saul Bellow: Wszystko zależy od tego, jakie informacje są dostępne. Ludzie, którzy pozostali stalinistami po pakcie Hitlera ze Stalinem, zasługują oczywiście na surową krytykę. Lecz większość nie rozumiała, wołała nie rozumieć znaczenia obozów koncentracyjnych, zarówno niemieckich, jak i sowieckich.

[...]

Keith Botsford: Co pan robił podczas wojny?

Saul Bellow: Zostałem powołany, lecz zwolniono mnie, bo miałem przepuklinę. Natychmiast poszedłem do szpitala zrobić sobie operację. Operacja nie udała się. Rekonwalescencja trwała około półtora roku. Wojna w Europie zbliżała się do końca. Poszedłem więc do marynarki handlowej. Odbywałem tam szkolenie, kiedy spadła bomba na Hiroszimę. [...]

[...] kiedy w 1959 roku pojechałem do Auschwitz, holocaust zwałił się na mnie całym swym ciężarem. Nigdy, nie uważałem tego za swój obowiązek, aby pisać o losie Żydów. [...] Jedyny obowiązek, jaki odczuwałem, to pisać o tym, co mnie naprawdę poruszało. A jednak to dość niezwykle, iż byłem tak zaabsorbowany moim amerykańskim życiem, że nie potrafię się od niego odwrócić. Nie byłem gotowy do konfrontacji z historią żydowską. Nie wiem, dlaczego, ale tak było. [...]



James Atlas, autor biografii Bellowa (2000), wydanie polskie pt. Bellow - noblista z Chicago (Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, 2006), napisał, iż **Bellow sportretował Keitha Botsforda w "Darze Humboldta" (1975) jako przedsiębiorcę literackiego Pierre'a Thaxtera.** (s. 251-252).

Oto wybrane fragmenty dotyczące Pierre Thaxtera („Dar Humboldta”, Poznań : Dom Wydawniczy Rebis, 2003)

Po raz pierwszy przeczytałem dokładnie listy, które mój kolega Pierre Thaxter przysłał mi z Kalifornii. Nie jestem zbyt uważnym czytelnikiem listów, a epistoły Thaxtera były długie. Układał je i dyktował w swoim pomarańczowym gaju pod Palo Alto, gdzie rozmyślał, siedząc w fotelu z płótna żaglowego. **Nosił czarny płaszcz karabiniera**, stopy miał bose, pił pepsi-colę, miał ośmioro czy dziesięcioro dzieci, wszystkim był winien pieniądze i był mężem stanu w kulturze. Adorujące go kobiety traktowały go jak geniusza, wierzyły we wszystko, co im mówił, przepisywały jego rękopisy, rodziły mu dzieci, przynosiły pepsi-colę, żeby się napił. Czytając jego wielostronicowe memoriały na temat pierwszego numeru „The Ark” (od trzech lat w stadium przygotawczym, koszty wprost zawrotne) uświadomiłem sobie, że od pewnego czasu, nalegał na mnie, żebym dokończył zbiór szkiców o „Wielkich nudziarzach współczesnego świata” (s. 226-227)

Thaxter przynajmniej ma styl. Naszą wyprawę do Wimbledonu urządził z wielkim gestem. Pamiętasz? Kosz z jedzeniem. Szampan i wędzony łosoś od Harrodsa. Z tego, co słyszę, jego rachunki były wtedy pokrywane przez CIA. Dlaczego by nie namówić CIA, żeby płaciło za „The Ark”? (s. 258)

Gdyby Thaxter miał zostać u mnie na noc, dałbym mu śniadanie, do jakiego był przyzwyczajony. Zawsze karmił mnie wyjątkowo dobrze. **Szczycił się swoim stołem** i mówił mi po francusku, co właśnie jem. Nie jadłem zwykłych pomidorów, tylko salade de tomates, nie jadłem chleba z masłem, tylko tartines, i tak samo było z bouilli, brülé, farci, fumé, aż do wybornych win. Kupował w najlepszych sklepach i nigdy nie zjawiało się przede mną na stoel coś, co by nie było przyjemne do zjedzenia lub wypicia.

Właściwie bardzo się cieszyłem na przyjazd Thaxtera. Spotkanie z nim zawsze sprawiało mi największą przyjemność. Może się nawet łudziłem, że będę mógł otworzyć przed nim zbolące serce, chociaż w rzeczywistości nie byłem aż tak głupi. Wpadał jak burza ze swojej Kalifornii, włosy miał długie niczym dworak Stuartów, a pod płaszczem włoskiego karabiniera nosił czarujący garnitur z niebieskiego aksamitu, kupiony na King's Road. Kapelusz z szerokim rondem pochodził ze sklepu dla czarnych elegantów. Na szyi miał zwykle cenne, zdawałoby się, łańcuszki, a także kawałki skręconego i poplamionego, ale oryginalnie barwionego jedwabiu. Jego jasnobrązowe buty, które sięgały kostek, miały **przemyślnie wszyte kawałki żaglowego płótna**, a na każdej płóciennej płaszczyźnie tkwił pomysłowo umieszczony kwiat irysu ze skóry. Jego nos był silnie zniekształcony, ciemna twarz płonęła, a ilekroć ujrzałem jego lamparcie oczy, wykrzykiwałem w duchu radości. Tak, były powody, dla których, dowiedziawszy się od woźnego, że Thaxter przyjechał, natychmiast wydałem pięć dolarów na jesiotra. Po prostu przepadałem za Thaxterem. (s. 280)

Jeśli idzie o kanty, gust mojego przyjaciela był staroświecki. Nie było już tego rodzaju łobuzów, chyba, że taki ktoś jak Thaxter próbował z czystego zamiłowania do staroświeckości przywrócić ów typ do życia. Ale uważałem też, że jest w tym coś głębszego i że dziwactwa Thaxtera ujawniają w końcu pewien szczegółowy cel duchowy. [...] Był bliskim przyjacielem. Kochałem Thaxtera. [...] Właśnie stracił swój dom nad Zatoką, a z nim pływalnię i kort tenisowy, pomarańczowy gaj, który sam zasadził, ozdobny ogród, limuzynę, kombi i piwnicę win. [...]

Thaxter miał na sobie swój ulubiony strój, czarny płaszcz, palce jego bosych stóp zachodziły ciasno na siebie jak wspaniałe figi ze Smyrny. Odbywało się właśnie sadzenie róż i prosił mnie, żebym nie rozmawiał z jego ukraińskim ogrodnikiem. „Był strażnikiem w obozie koncentracyjnym i jest do dziś zwariowanym antysemitą. **Nie chcę, żeby zaczął się wściekać**”. [...]

Niektórym z najnowszych dzieci Thaxtera, ślicznych i niewinnych, wolno było bawić się niebezpiecznymi nożami i pojemnikami z trującą substancją do opylania róż. Nikomu nie stała się krzywda. Tuż obok roziskrzzonej taflి basenu podano lunch, który był wielką imprezą: dwa gatunki win nalewanych przez samego gospodarza z chmurną godnością i niepoślednim znanstwem, czarny płaszcz, zakrzywiona fajka, powyginane palce u nóg. Jego ciemna, ładna młoda żona z radością brała udział w przygotowaniach i nadzorowała wszystko, właściwie pozostawiając w cieniu. Była bezgranicznie zachwycona swoim życiem, a przecież nie mieli pieniędzy, ani grosza. (s.282-283)

Thaxter dobudowywał specjalne skrzydło dla „The Ark”. Nasze czasopismo miało mieć własny lokal i nie przeszkadzać mu w życiu osobistym. Ściągnął kilku studentów, trochę jak w „Przygodach Tomka Sawyera”, którzy kopali fundamenty. Objeżdżał swoim sportowym samochodem okoliczne place budowy, zasięgając rady u budowlanych i podwędzając kawałki dykty. (s. 284)

W „The Ark” zamierzaliśmy drukować rzeczy świetne. Gdzie mieliśmy szukać tej świetności? Wiedzieliśmy, że istnieje. Zakładać, że jest inaczej, byłoby obelgą dla cywilizowanego kraju i całej ludzkości. Należy uczynić wszystko, co w naszej mocy, żeby przywrócić sztuce jej znaczenie i autorytet, myśli jej powagę, kulturze jedność, stylowi jego godność. (s. 284)

Pierre Thaxter miał zupełnego bzika na punkcie Kultury. Był filologiem klasycznym, znakomicie wykształconym przez zakonników w łacinie i grece. Nauczył się francuskiego od guwernantki i studiował ten język w college'u. Sam się nauczył także arabskiego i czytał ezoteryczne książki, w nadziei, że pewnego dnia zadziwi wszystkich publikacjami na łamach naukowych pism w Finlandii albo Turcji. Rozprawiał ze szczególnym szacunkiem o Panofskym i Momigliano. Widział się w roli Burtona z Arabii albo T. E. Lawrence'a. Niekiedy był zwariowanym geniuszem typu barona Corvo, żyjącym w nędzy i brudzie w Wenecji, piszącego coś dziwaczного i kipiącego namiętnością, rzadkiego i znakomitego. Nie mógł znieść myśli o pominięciu czegokolwiek. Grał Strawińskiego na pianinie, wiedział dużo o rosyjskim balecie. Był niemal autorytetem, jeśli idzie o Matisse'a i Moneta. Miał określone poglądy na zikkuraty i Le Corbusiera. Potrafił ludziom radzić, i często to robił, jakie przedmioty kupować i gdzie je kupować. [...]. **Miał kręcka na punkcie teczek i parasoli.** [...] Był doskonałym dziennikarzem. Uznawano to powszechnie. Pracował w dobrych pismach i z każdego był wyrzucany. (s. 286-287)

Thaxter tęsknił za polem do działania (ja też, jeśli już o tym mowa). A jednak stanowił dla mnie zagadkę. Był to człowiek albo bardzo zycziwy, albo brutalny, i dręczyła mnie niepewność, czy jest taki czy taki. (s. 288)

A kobiety uwielbiały Thaxtera. Pewnego wieczoru w czasie jego ostatniej podróży przez ocena jakaś starsza pani z Teksasu, jeżeli mówił prawdę, rzuciła mu na kolana, pod osłoną obrusa, zamszowy woreczek z drogimi kamieniami. Dyskretnie oddał go jej. Nie będzie obsługiwać starych megier z Teksasu, oświadczył. Nawet tych, które przejawiają wspaniałomyślność w stylu wschodnim czy renesansowym. Bo mimo wszystko należało to uznać za wielki gest, godny wielkiego oceanu i wielkiego charakteru. Ale on był pełen godności, wyjątkowo cnotliwy i wierny swojej żonie – wszystkim swoim żonom. Był gorąco przywiązany do całej rozległej rodziny, tych licznych dzieci, jakie miał z kilkoma kobietami. Jeżeli nawet nie da światu żadnej Wielkiej Idei, to przynajmniej wycisnie na nim swoje genetyczne piętno. (s. 313)

I pomimo swojej słabości do francuszczyzny Thaxter był prawdziwym Amerykaninem – tylko że podobnie do Walta Whitmana sam siebie przedstawiał jako archetyp: „Co ja przyjmuję, przyjmujesz i ty”. [...] Wobec Taxtera odczuwałem to, co odczuwałby człowiek obładowany licznymi paczkami, który próbuje znaleźć klucz do drzwi, ale przeszkadza mu w tym jego własny kot. (s. 326)

JERZY JARNIEWICZ (ur. 4 maja 1958) – dr hab., prof. nadzw. Uniwersytetu Łódzkiego, Uniwersytetu Warszawskiego, poeta, krytyk literacki, tłumacz, absolwent anglistyki i filozofii, pracownik naukowy i wykładowca w Instytucie Anglistyki Uniwersytetu Łódzkiego, Instytucie Anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Członek redakcji „Literatury na Świecie”, „Tygla Kultury”, teksty krytycznoliterackie publikuje m. in. w „Tygodniku Powszechnym”, „Gazecie Wyborczej”. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Członek Kapituły Nagrody Literackiej Gdynia. Mieszka w Łodzi.

W latach 70-tych kolportował wydawnictwa Niezależnej Oficyny Wydawniczej „Nowa”, współzałożyciel Niezależnego Zrzeszenia Studentów i jego oddziału na anglistyce UŁ (1981). W stanie wojennym współorganizował na filozofii UŁ „Latający Uniwersytet”. W 1985 r. przywoził z Anglii zakazaną w Polsce literaturę.

Tomiki poetyckie:

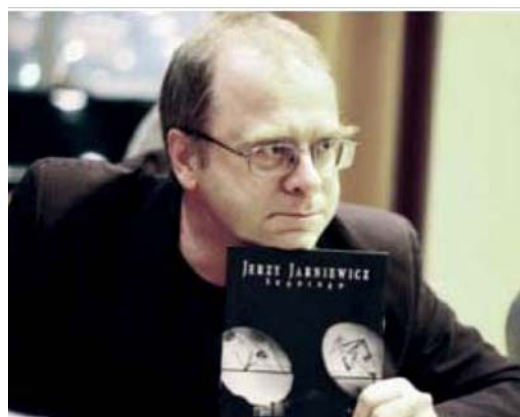
Korytarze (1984)
Rzeczy oczywistość (1992)
Rozmowa będzie możliwa (1993)
Są rzeczy których nie ma (1995)
Niepoznaki (2000)
Po śladach : wybór wierszy (2000)
Dowód z tożsamości (2003)
Oranżada (2005)
Skądinąd : 1977-2007 (2007)

Krytyka literacka:

The uses of the commonplace in contemporary British poetry : Larkin, Dunn and Raine (1994)
Lista obecności : szkice o dwudziestowiecznej prozie brytyjskiej i irlandzkiej (2000)
W brzuchu wieloryba : szkice o dwudziestowiecznej poezji brytyjskiej i irlandzkiej (2001)
The bootomless centre : the uses of history in the poetry of Seamus Heaney (2002)
Larkin : odsłuchiwanie wierszy (2006)
Znaki firmowe : szkice o współczesnej prozie amerykańskiej i kanadyjskiej (2007)
Od pieśni do skowytu : szkice o poetach amerykańskich (2008)



Fot. Tomasz Stańczak / AG 2005-02-21 <http://miasta.gazeta.pl/lodz>



Fot.: <http://images.google.pl>

Przekłady - w wyborze, (w nawiasie rok wydania tłumaczenia polskiego)

Człowiek z mózgiem prezydenta / Ted Allbuery (1991)
Księga Proroctw i inne wiersze / Craig Raine (1991)
Kto jest kim w Biblii / Peter Calvocoressi (1992)
Czas dyktatorów / Winston Churchill (1993)
Dylan : droga bez końca / Clinto Heylin (1993, tł. też Adam Sumera)
Oszustwo / Philip Roth (1993, 2007)
Dziedzictwo : historia prawdziwa / Philip Roth (1994, 2007)
Filozofia : jak blefować z głową / Jim Hankinson (1994)
Glenn Gould : muzyka i myśl / Geoffrey Payzant (1995)
Sześć przechadzek po lesie fikcji / Umberto Eco (1995, 2007)
Historia Normanów / R. Allen Brown (1996, 2003)
Historia piekła / Alice K. Turner (1996, 2004)
Zuch / Edmund White (1998)
Wolny przekład / Craig Raine (1999, tł. też Piotr Sommer)
Katerina Brac / Christopher Reid (2001, tł. Leszek Engelking)
Nocna zmiana i inne wiersze / Simon Armitage (2003, tł. też Jacek Gutorow)
Zaćmienie / John Banville (2004)
Portret artysty w wieku młodzieńczym / James Joyce (2005)
Morze / John Banville (2007)

http://pl.wikipedia.org/wiki/Jerzy_Jarniewicz
http://www.slownik-niezaleznidlakultury.pl/lodz/Katalogi_bibliotek



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi

www.wimbp.lodz.pl

Wybór tekstów: Piotr Bierzwiński
Redakcja i skład komputerowy:
Julita Lendzian-Twardowska

Nakład: 80 egz.

Numery BIBiKa dostępne są
na stronie **www.wimbp.lodz.pl**
w dziale **Wydawnictwa własne**

WiMBP zaprasza

WiMBP im. Marszałka J. Piłsudskiego zaprasza
na spotkanie z **Ewą Ostrowską**

28 maja 2009 roku o godz. 17.00
sala konferencyjna Biblioteki
ul. Gdańska 100/102

Ewa Ostrowska (ur. 1938)

pisarka i dziennikarka,
autorka powieści obyczajowych dla dorosłych,
thrillerów, kryminałów oraz książek dla dzieci
i młodzieży. Niektóre z książek wydawała pod
pseud. Brunon Zbyszewski, Nancy Lane.



Dyskusyjny Klub Książki
przy WiMBP im. Marszałka J. Piłsudskiego
zaprasza na spotkanie
o twórczości poetyckiej
Stanisława Barańczaka
2 czerwca 2009 r. o godz. 17.00
sala konferencyjna Biblioteki
ul. Gdańska 100/102

Zapraszamy do dyskusji o „Wierszach zebranych”
Stanisława Barańczaka wydanych przez Wydawnictwo a5
(Kraków 2007) w serii Biblioteka Poetycka (tom 55)



Ewa Ostrowska (fot. <http://www.ceo.org.pl>)



WiMBP im. Marszałka J. Piłsudskiego zaprasza
na prelekcję **Krzysztofa Schramma**
(prezesa Towarzystwa Polsko-Irlandzkiego)

pt. **„Literackie przystanki w Irlandii, czyli o literaturze
Zielonej Wyspy w przededniu Bloomsday”**

15 czerwca 2009 roku godz. 17.00
sala konferencyjna Biblioteki
ul. Gdańska 100/102

Bloomsday jest świętem obchodzonym dorocznie 16 czerwca, w Irlandii oraz wielu krajach świata, dla upamiętnienia życia i twórczości irlandzkiego pisarza Jamesa Joyce'a, a w szczególności fikcyjnych wydarzeń z jego powieści „Ulisses”, której akcja rozgrywa się 16 czerwca 1904 roku. Nazwa święta pochodzi od nazwiska Leopolda Blooma, głównego bohatera „Ulissesa”, a dzień 16 czerwca 1904 został przez pisarza wybrany, ponieważ wtedy po raz pierwszy umówił się na randkę ze swoją przyszłą żoną, Norą Barnacle. Pierwsze obchody święta miały miejsce w 1954 roku. Bloomsday jest okazją nie tylko do przypomnienia i popularyzacji twórczości Joyce'a ale również innych literatów irlandzkich.

(<http://pl.wikipedia.org/wiki>, <http://www.tpi.poznan.pl>)